Rok 1898. Lwów, dnia 31. maja. Nr. 21.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

SONET.

Pannie Jadwidze R.

Lubię kiedy twa ręka w mojej spocznie dłoni,
Gdy przedemną niepewna, drżąca i spłoniona
Stoisz i patrzysz na mnie, jak królewna ona
Co tylko patrzeć umie — innej nie ma broni...

Lubię kiedy twe lica rumieniec zapłoni
A lazur oczu skryje czarnych rzęs osłona,
Lubię gdy na twej twarzy uśmiech błyśnie, skona
I tylko grają żyłki w delikatnej skroni...

Lubię z tobą te chwile, kiedy srebrną nocą
Błądzimy razem między parku ciemne drzewa
Kiedy szept każdy w martwym spokoju omdlewa

Cicho, sennie, bez ruchu. — Nad nami migoca
Gwiazdy, a wśród milczenia, ucho moje słyszy
Tylko twój lekki oddech i melodję ciszy.

STANISŁAW RYCHTER.



WŁ. M. KOZŁOWSKI

PRZEZNACZENIE FILOZOFII I POWOŁANIE FILOZOFÓW.

Był czas, kiedy miłość wiedzy uważano za jedno z obojętnością dla życia. „Spokój filozoficzny“, z którym mędrzec miał znosić ciosy nieszczęść, przechodził nieznacznie we wzgardliwe usuwanie się od targowiska interesów codziennych, a tylko czysto bezinteresowna kontemplacja świata, jego piękności i jego porządku, stanowić miała godne filozofa zajęcie.

Nie ulega zaprzeczeniu, że owa bezinteresowna miłość wiedzy dla niej samej, poszukiwanie prawdy dla prawdy, bez oglądania się na jej następstwa, stanowi nietylko jeden z najpiękniejszych objawów natury ludzkiej, ale jest koniecznym warunkiem rzeczywistej i twórczej pracy naukowej. Tylko miłość dla idei abstrakcyjnej podnosi człowieka na te wyżyny ducha, na których staje się zdolnym do działalności doniosłej dla całego społeczeństwa, dla przyszłych pokoleń; wszystko jedno, czy ideą tą będzie prawda czy piękno, zasada społeczna czy ideał etyczny, naród czy ludzkość.

Jak dla artysty piękno jest jedynym i ostatecznym celem twórczości, a zadaniem sztuki jego wcielenie*), tak dla filozofa prawda jest punktem, ku któremu dążą wszystkie jego usiłowania, a wszelkie względy praktyczne, podnoszące jej wartość w oczach gminu, obrażają tylko i poniżają jego czystą miłość dla tej idei.

*) Nie chciałbym, aby słowa te były źle zrozumiane. Mówiąc, że piękno jest jedynym celem sztuki dla artysty, t. j. tego, kto je stwarza, nie staję bynajmniej w obronie bezidejowości w tej dziedzinie; piękna bowiem nie może być tam, gdzie nie ma idei. To, co Kant nazywał „czystą czyli swobodną pięknością“, t. j. arabeski, desenie i t. d., może stanowić co najwyżej żywioł „przyjemny“. Czas już porzucić razem z wyczerpanym sporem dający doń powód dwuznacznik „sztuka dla sztuki“ i zastąpić go świeższem i żytotniejszem hasłem: „sztuka dla człowieka“.

Nigdy też tak pięknie i tak dumnie nie wygłaszano pogardy dla wszelkich prób narzucenia miary użyteczności wielkim aspiracjom filozoficznym, jak w epoce największego rozkwitu, w okresie młodzieńczego zapału i męskiej siły tej umiejętności.

W VII-ej księdze „Rzeczypospolitej" Platona, Sokrates, zważywszy znaczenie wychowawcze nauki o liczbach i geometrji, pyta się swego współbiesiadnika, czy i astronomię mają zaliczyć do przedmiotów kształcących dla młodzieży.

— Tak mi się zdaje — odpowiada Glaukon — dokładna bowiem znajomość pór roku, miesięcy i lat nie mniej jest potrzebną dla wojownika, jak i dla rolnika lub żeglarza.

— Naprawdę — mówi na to Sokrates — za wielkie to ustępstwo z twej strony. Zdaje się, jakobyś się obawiał, iżby tłum nie potępił cię za przepisanie umiejętności bezużytecznych. Najważniejsza zasługa tych nauk, których wartość zresztą nie łatwo jest dać odczuć, polega na tem, że ożywiają i oczyszczają organ duszy, oślepiony i przygaszony niejako przez inne zajęcia życiowe, organ, którego zachowanie jest tysiąckroć ważniejsze niż zachowanie oczu cielesnych, gdyż jedynie przy jego pośrednictwie dostrzegamy prawdę.

Pytagorasowi zaś przypisują następujące słowa:

„Ludzie związani w społeczność, oddają się rozmaitym zajęciom. Jednych porywa nieprzezwyciężony urok bogactwa i rozkoszy; drugich opanowywa ambicja władzy i zaszczytów; lecz najwyższym celem człowieka jest oglądanie piękności wszechświata i zasłużenie przez to na miano filozofa.

Jeśli jednak dla samych filozofów poszukiwanie prawdy jest jedynym uprawnionym celem ich usiłowań, rozkosz badania i poznania jedyną pożądaną nagrodą, to socjolog nie może uniknąć pytania, w jaki sposób dążenia i usiłowania te splatają się w wyższą jedność z innemi objawami myśli i czynu dziejowego, jakie ich oddziaływanie na całość objawów społecznych, innemi słowy, jaka jest społeczna funkcja filozofji jako czynnika socjologicznego? Odpowiedź zaś na to pytanie ważne dla każdego filozofa, który chce świsdomie określić zadanie swoje, musi wpłynąć niezawodnie i na pojmowanie przezeń swego powołania, oraz przeznaczenia swej umiejętności.

Z drugiej znów strony, pojęcie „mądrości" nie wyczerpuje się samą wiedzą, prawdą poznania, lecz obejmuje szereg zasad przewodniczących postępowaniu i sądom naszym o zjawiskach życia. Nietylko dążenie do p r a w d y, lecz poszukiwanie i miłość d o b r a jest cechą mędrca. To też od najdawniejszych czasów mędrcy byli prawodawcami ogółu.

Pojmował to i Pytagoras, który, określając filozofję jako „miłość mądrości", był jednocześnie założycielem rozległego stowarzyszenia, usiłującego wprowadzić w życie nowe, wyższe zasady moralności. Pojmowali to i późniejsi filozofowie, wciągając w zakres swych badań zagadnienia, dotyczące moralności, prawa, państwa i dążąc do wyrobienia i d e a ł u m ę d r c a, t. j. człowieka, który najrozumniej i najlepiej zachowuje się wobec zagadnień życia.

Z tych więc dwóch stanowisk powinniśmy odpowiedzieć na pytanie o powołaniu filozofów.

Społeczną rolę filozofji wyjaśni nam zestawienie jej z innemi gałęziami czynności umysłowych człowieka, oraz z przeznaczeniem społecznem tych wytworów ducha.

Filozofja jest poglądem na świat, obejmującym całość myśli, uczuć i czynności ludzkich w jeden systemat umiejętny; poszukuje ona najwyższej z dostępnych dla człowieka prawd, w przeciwstawności do częściowych prawd wiedzy opiera się na ich krytycznej ocenie, obok tego zaś obejmuje najogólniejsze zasady i probierze naukowe dla oceny ideałów sztuki, moralności i religji. Zajmuje więc stanowisko środkowe względem tych czynności ducha ludzkiego, ogniskując w sobie ich najwyższe zasady.

Wśród tych czynników społecznych religja i moralność mają znaczenie raczej regulacyjne, oddziaływujące przeważnie w kierunku zrównoważenia wpływów przy danym stanie społeczeństwa i podniesienia duchowego (a zarazem i podniesienia stopnia szczęśliwości) bez przyśpieszenia widocznego postępu w jakimś określonym kierunku. Przeciwnie, sztuka i wiedza są czynnikami, które najpotężniej oddziaływują na postęp ludzkości.

Wiedza, poznając prawa i stosunki stałe, rządzące światem, daje możność kierowania nim przez przewidywanie *(savoir pour prévoir, afin de pourvoir)*, oddaje go w rozporządzenie człowieka. Sztuka, będąc wyrazem pragnień i marzeń ludzkości, jest kolebką ideałów, z których wyrastają następnie cele praktyczne i żywi ona i podtrzymuje ów popęd do coraz wyższej doskonałości, który jest główną dźwignią postępu.

Filozofja, jako synteza jednej i drugiej, powinna o b e j m o w a ć s y n t e t y c z n i e ś r o d k i i c e l e w d ą ż e n i a c h s p o ł e c z e ń s t w a k u p o s t ę p o w i.

Innemi słowy — czysto teoretyczny i osobowy ideał sztuki przetapia krytyka filozoficzna na praktyczny i społeczny, oceniając go ze stanowiska etycznego i badając pod względem konsekwencji i m o ż l i w o ś c i w e w n ę t r z n e j, t. j. o ile jego rozliczne wymagania nie stoją w sprzeczności z sobą ani z wymaganiami etycznemi. W ten sposób wytwarza się pewien ideał nowego uspołecznienia, a rzeczą już umiejętności społecznych jest ocena m o ż l i w o ś c i z e w n ę t r z n e j tego ideału, czyli możności przeprowadzenia go w życiu w obec danych warunków społecznych i dziejowych.

Jak teoretyczna część filozofji zachowuje się wobec umiejętności szczegółowych, tak jej praktyczna część wobec sztuki. Pierwsza przerabia w świetle krytyki i teorji poznania częściową i niedoskonałą, jednostronną i sprzeczną z sobą ich wiedzę w jednolity umiejętny pogląd na świat, czyniąc w ten sposób zadość naszemu dążeniu do p r a w d y p o z n a n i a. Druga, z również jednostronnych i częściowych ideałów piękna, wytwarza ideał wyższego typu, ideał społeczny, jednościowy i zharmonizowany z etycznym, a w ten sposób zadawalnia nasze pragnienie społecznej prawdy, p r a w d y w c z y n i e i ż y c i u, dając niemylne i powszechne pierwowzory dla jednego i drugiego.

Filozofja teoretyczna, pomimo, iż ma swój odrębny i wystarczający sobie cel — utworzenie poglądu na świat — zostaje, niezależnie od tego, w takim stosunku do praktycznej, jak środek do celu, jak przygotowanie do wykonania, gdyż myśl jest tylko wstępem do czynu, a punktem szczytowym, ku któremu zdąża filozofja praktyczna, jest ocena ideałów zbiorowego życia, czyli filozofja społeczeństwa *).

---

*) Podobne przekonanie co do społecznego znaczenia filozofji, a przynajmniej w wielu punktach zbliżone, wypowiada Trentowski w dziele pt.: „Stosunek filozofji do cybernetyki czyli sztuki rządzenia narodem" (Poznań, 1843): „I ż j a k i ż j e s t s t o s u n e k f i l o z o f j i d o c y b e r n e t y k i? Filozofja, uprawiając polityczną boskość swojego czasu i pokazując, jak dziś być powinno, lecz nie jest, wychowuje najbliższą przyszłość, cyberneta i polityk rządzi teraźniejszością. Dziś jest cybernetyka rozkazującą panią, a filozofja także jej służebnicą; ale dzisiejsza filozofja jest panią cybernetyki jutrzejszej, bo do niej właściwie należy ochmistrzowstwo nad tą młodą królewską córą".

Przychodzimy więc w ten sposób do dwóch myśli zaznaczonych już przez dwóch znakomitych filozofów przeszłego i bieżącego stulecia: Kant'a, i Comte'a; a mianowicie, popierwsze do wygłoszonej przez filozofa królewieckiego zasady pierwszeństwa rozumu praktycznego przed teoretycznym *(Primat der praktischen Vernunft* — innemi słowy, wyższość woli nad poznaniem, czynu nad wiedzą); powtóre, do nauki o socjologji, jako ostatecznym celu wszelkiej filozofji — myśl szlachetnego reformatora filozofji i twórcy religji pozytywnej, który w jednej i drugiej miał za cel główny i jedyny — związać wiedzę i wiarę z życiem, oddać obie na usługi ludzkości przez wyrugowanie z jednej: zagadnień niedostępnych dla umysłu ludzkiego, z drugiej: wierzeń i praktyk, przeszkadzających do szczęścia ludzkości, myśl wielką, zupełnie niezrozumianą, lub nie uznaną przez epigonów pozytywizmu.

Czy dotąd pełniła filozofja takie przeznaczenie w życiu? Czy zawsze je pełniła?

Dzieje odpowiedzą twierdząco na pierwsze, przecząco na drugie z tych pytań. Filozofja dopiero od niedawna zaczyna w całej rozległości pełnić wytkniętą tu jej rolę, ale niezawodnie raz wszedłszy na tę drogę, nie ustąpi z niej.

Naród, który pierwszy stworzył filozofję, był też i pierwszym, który powołał do życia politykę. Zastosowawszy rozum do pojmowania świata, Grecy potrafili go zastosować i do sztuki rządzenia. Oni też wytworzyli instytucje państwowe, które jeszcze przed stu laty były uważane za najwyższy ideał w tym zakresie, które były natchnieniem demokratycznych przewódców rewolucji francuskiej.

W zaraniu cywilizacji greckiej „mędrcy", jak Solon, zostają prawodawcami.

A chociaż ani zamknięta heleńska „Rzeczpospolita" Platona ani przez Zenona nakreślony kosmopolityczny ideał w przeciwstawności do niej wszechświatowego państwa nie stały się wzorami dla życia, nie mniej jednak, jak zauważył to już Plutarch, dzieje wykonały mieczem Aleksandra Macedońskiego plany, nakreślone piórem Zenona, a Rzymianie dokończyli dzieła Macedończyka.

Lecz nastąpił czas, gdy filozofja z tronu mistrzyni życia spadła do roli służki, zapełniającej wczasy próżniaczej arystokracji i plutokracji, aby raz przez sofistów zachwiać podstawy wszelkich rozumnych instytucji społecznych, a następnie, przez epikurejczyków rozproszyć społeczeństwo na atomy, jak w nie rozdrabiała świat fizyczny.

I od tego czasu na długi szereg wieków złożyła ona berło swoje. Myśl państwa wszechświatowego tuła się po Europie przez pierwszą połowę wieków średnich, ale wszelkie ruchy postępowe, wszelkie ożywcze i nowe tchnienia społeczne wypływają odtąd z innego źródła — z religji, gdyż nie rozum ale wiara stała się teraz przewodniczką ludzkości.

Dokończenie nastąpi.



ADAM KRAJEWSKI.

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Szary i mglisty był ranek, zupełnie odpowiadający usposobieniu młodych małżonków, gdy się przy śniadaniu znaleźli. Na twarzy Albina zbyt widoczne były ślady, że oka jeszcze nie zmrużył pod wrażeniami ubiegłej nocy. Nina była pozornie bardzo spokojną, zaczerwienione jej oczy jednak mówiły, że gdy się znalazła sama w swoim pokoju, musiała z nich niejedna łezka popłynąć.

Usiedli naprzeciw siebie w milczeniu. Gdyby Albin nie był tak młody i tak nie zepsuty, jakim był, gdyby umiał był udawać, nie byłoby mu przyszło z trudnością wykręcić się przed żoną ze zmięszania swego na balu. Cóż wreszcie stało się tak wielkiego — i co nareszcie było? — Jedno rzucone nań spojrzenie obcej kobiety, jedno zarumienienie się jego, miały uczucia jego dla żony w wątpliwość podawać? W sercu swem i sam przed sobą czuł się zupełnie niewinny i przykro mu się robiło pod wpływem tych ukradkowych spojrzeń z ukosa, jakie na niego Nina rzucała między jednym a drugim łykiem kawy. Gniewało go to żenujące milczenie; sam niechciał zaczynać, ażeby nie powiedzieć przypadkiem czegoś, coby mogło wywołać nowe kwasy. Czekał aż zacznie Nina. Nie spieszno jej było. Podparła główkę dłonią i patrzyła ku oknu, poza którem wirowały białe płatki śniegu, zwijane wichrem, dmącym w szyby.

Sytuacja stawała się dla Albina czemraz nieznośniejszą; służący nawet, zbierając nakrycie, jakiemś dziwnem okiem zmierzył zakłopotanego Albina. Potrzeba było przerwać koniecznie tę ciszę. Albin chrząknął parę razy, zapalił papierosa i począł się przechadzać po pokoju, umyślnie, aby odwrócić uwagę Niny od okna. Niech się wreszcie dzieje co chce; wolał wymówki choćby, niż to uparte milczenie, co do którego był pewny, że nie jest niczem więcej, jak następstwem tej nieszczęsnej nocy balowej. Jakoż istotnie Nina odwróciła główkę i popatrzyła na niego. Skorzystał z tej chwili i będąc już na wszystko przygotowanym, zbliżył się do żony.

— Jak spałaś? — zapytał, — czujesz się zmęczoną?

— Dobrze — odparła krótko — i wzrok jej znowu spoczął na szybie.

Albin po przełamaniu pierwszych lodów, zdecydował się na krok stanowczy. Przysunął się bliżej do Niny i jak dawniej objął ramieniem jej wiotką kibić. Nie broniła mu się, ani nie starała usunąć, ale wczoraj jeszcze, niby swawolna kotka przytulała się do niego, nie tak obojętnie jak teraz, dając ze sobą robić, co mąż chciał. Położenie Albina było przykre. Gdyby sam nie czuł się poniekąd winnym tego kwasu małżeńskiego, — a musiał się poczuwać do winy, — byłby miał słuszne powody gniewać się na żonę za prosty kaprys; ale ponieważ sumienie mu mówiło, że on tu jeden jest winowajcą, musiał więc być cicho. Trzymał tak chwilę żonę w objęciu, czując przecież jednakową z jej strony obojętność, powoli usunął rękę i znowu siedzieli cicho obok siebie.

Nina patrzyła w szybę zamyślona, Albin patrzył na nią i zdawało mu się, że te oczy, modre jak dwa bławaty, wilgotnieją, zachodzą łzą. Istotnie pozorna obojętność Niny, musiała się zamienić w płacz, by tym sposobem ulżyć uczuciu, wezbranemu rosnącą zazdrością.

Albin był człowiekiem miękkiego serca, kochał Ninę i nie byłby mógł patrzeć spokojnie na jej łzy. Gdy więc spostrzegł duże perły zwiszające się z pod rzęsów żony, już klęczał u jej stóp i okrywając pocałunkami małe jej rączki, pytał zaniepokojony:

— Co ci Nina, droga moja, czego płaczesz?

Obojętność Niny zmieniła się w jednej chwili w płacz spazmatyczny; wśród łkania Albin mógł podchwycić jedynie wyrazy: Ty mnie już nie kochasz! — Był w nich cały wyrzut zbolałego serca.

Teraz Albin potrzebował całej przytomności umysłu, ażeby uspokoić żonę. Okrywał ją pieszczotami, całował ręce, usta, oczy, zapewniał gorącemi słowy o swej dla niej miłości. Mógł to tem spokojniej czynić, bo w tej chwili byłby mógł na każdą świętość przysięgać, że jedynie Ninę kochał. O Malwinie w tej chwili przynajmniej nie myślał, albo jeżeli była ona w myślach jego, to chyba jako przykre wspomnienie i mógł tylko gniewać się na nią, że była powodem tej pierwszej dla niego sceny małżeńskiej.

Udało mu się w końcu uspokoić żonę. Siedzieli już teraz pogodzeni, uśmiechnięci, jednak było zawsze jeszcze coś między nimi, co im odbierało tę dziecięcą szczerość, tę niewinną swobodę, z jaką dawniej ze sobą obcowali. Oboje czuli doskonale, że między nich coś stanęło, a żadne z nich niema odwagi nazwać to po imieniu, i że to coś niby owoc zakazany z rajskiego ogrodu, stało się końcem tej błogiej nieświadomości, która człowieka czyni tak szczęśliwym. Być może, że jedno i drugie rade byłoby ciężar ten zrzucić czemprędzej z serca, wypowiedzieć to słowo, ale żadne z nich nie miało do tego odwagi, choć każde z innych powodów. Nina, poczęści przez dumę kobiecą, poczęści wstydząc się brzydkiego bądź co bądź uczucia, jakiem jest zazdrość, choćby nawet najgorętszą miłością usprawiedliwiona. Albin miał powody wcale odmienne. Bał się poprostu nazwać imienia Malwiny, aby nie potrzebował się tłumaczyć z tego, co mu tyle sprawiło przykrości, i co mu jeszcze teraz spokój odbiera.

Ale Nina była kobietą, nieodrodną córą prababki Ewy. Była przytem dzieckiem trochę popsutem pieszczotami, naprzód rodziców, potem Albina. Postanowiła przecież dowiedzieć się czegoś, o czem przedtem nie wiedziała, a serce jej mówiło, że jest coś takiego, o czem nie wie.

I ciekawość jej kobieca przemogła wszystko a po chwili niespodziewanie zagadnęła Albina.

— Mój drogi — zapytała patrząc mu w oczy — przyznaj mi się, czy prócz mnie nigdy żadnej nie kochałeś?

Albin tak niespodziewanem pytaniem zaskoczony, znalazł się nagle w kłopocie. Nie mógł z czystem sumieniem odpowiedzieć: nie! — byłby bowiem skłamał, choć sam nie był pewny siebie, czy skłonność do Malwiny była miłością, czy nie była. Jakżeby zresztą przyznał że była, skoro sam nie mógł przed sobą istoty tego uczucia zdefiniować. Przyznawać, że kochał się w innej kobiecie, zanim poznał i pokochał Ninę? Do tego nie miał w obec żony odwagi, zwłaszcza dziś, po tem wszystkiem, gdy zaledwie przeszła pierwsza scena małżeńska. Gdyby jak był niedomyślny, przecież musiałby się domyśleć, o co właściwie idzie Ninie i dlatego nie odpowiadał rychło.

Nina nie zbiła się wcale z tropu milczeniem męża, lecz przymilając się już teraz, powtórzyła pytanie.

Nie mógł jej dalej zbywać milczeniem; trzeba było koniecznie coś odpowiedzieć, jeżeli burza nie miała wybuchnąć. Próbował jednak, czy mu się nie uda wywikłać z niewygodnego położenia.

— Dlaczego o to pytasz, moja Nino? — zapytał niby od niechcenia.

— A bo tak... chciałam wiedzieć... co ci to szkodzi? — rumieniąc się odparła. — No mój drogi! — powiedz, proszę cię.

Teraz już wiedział napewne, że nie prosta ciekawość powodowała żoną, skoro tak nalega. Wiedział że musi kłamać. Teraz jej przecież, dziś przynajmniej, nie powie prawdy, któraby jej i tak trochę zbolałe serduszko bardziej jeszcze rozraniła, choćby nie było nawet o co; a on tak chciał jej jakiejkolwiek przykrości oszczędzić... Naturalnie, że było tam w grze i trochę jego własnego egoizmu. Od tylu miesięcy dzień za dniem płynął mu jak po różach; jakże więc nieprzyjemną byłaby scena, której przedsmak miał już od dzisiejszej nocy.

Wysiliwszy się więc na odwagę, jak najbardziej stanowczo zaprzeczył, jakoby inna miłość prócz dla Niny była kiedy w jego sercu.

Czy słowne zapewnienie to nie wystarczyło młodej kobiecie, czy patrząc w oczy męża, wyczytała z nich nieprawdę, dość że ironiczny uśmiech przebiegł po jej usteczkach, a lekkie poruszenie ramion wskazało, że mu nie wierzy. Ale Albin tak był pewny swego, że nie dał się zbić z tropu. Wpadłszy raz na drogę przejednania Niny, zapewniał ją czemraz silniejszem zaklęciem o prawdziwości tego co powiedział. Namiętne uściski i pocałunki dopełniły reszty, i zdawało się, że nie powróci więcej do tej nieprzyjemnej rozmowy, jaką była bądź co bądź dla młodego małżonka.

Tymczasem, gdy przeszły uniesienia, wywołane pieszczotami i Nina odzyskała zachwianą chwilowo równowagę umysłu, nie chciała poprzestać na tem, co jej Albin powiedział, lecz inną drogą dojść do zbadania tego, co ją zaniepokoiło. Mieli tyle czasu, a tak mało zajęć; w dodatku dzień chmurny i wiatr miotający śniegiem zmuszał ich do siedzenia w domu, a ona miała taki pyszny temat do rozmowy z Albinem... Mimo bardzo młodziutkiego wieku, a może właśnie dlatego, była kapryśną i bardzo, a bardzo o swego Albina zazdrosną. Nie dawał jej aż dotąd do tego powodu, tem więcej teraz ogarniał ją niepokój, że mogła być przed nią jakaś, z którą

kiedyś mąż jej mógł podzielać serce. Gdyby była starszą i doświadczeńszą, gdyby bywała przedtem w świecie, byłoby jej niejedno wydało się zupełnie naturalnem, co teraz było dziwnem; byłaby pojęła, że ludzie nie mogą być niczem więcej jak ludźmi i nie byłaby do tego stopnia naiwną, ażeby sądzić, że mąż jej, zanim ją poznał i pokochał, nie durzył się w żadnej a żadnej kobiecie. Nie zdawała też sobie sprawy z tego, że takiem, nieraz bezzasadnem podejrzeniem, może zachwiać swe szczęście własne, a co gorsza, rozbudzić w młodym małżonku uczucie zniechęcenia dla siebie i kto wie, czy nie skierować je na najmniej pożądane tory.

Rozumna kobieta byłaby poprzestała na zapewnieniach męża o wierności, w którą nie miała najmniejszego dotąd powodu watpić. Ale Nina była jeszcze dzieckiem... Jak dziecko więc natrętne zapytała znowu.

— Kto jest ta panna Malwina?...

Albin nie wątpił o tem, że wszystko poprzednie było preludjum do tego, co teraz nastąpi. Myślał, że będzie miał nareszcie spokój z tą Malwiną, a tu jej marę własna żona wywołuje. Uczuł jakiś niesmak i żal do Niny za jej ciekawość i niewiarę w niego. To też gniewnie z niechęcią odparł:

— Panna dobrze ułożona, majętna, sierota...

Jakie więcej mógł jej dać objaśnienie o kimś, kogo się widzi wśród zabawy? Nie widział zresztą potrzeby rozgadywać się o tem, o czem wogóle niechętnie mówił, zwłaszcza po dzisiejszej scenie.

I na Ninie nie przeszło to bez wrażenia. Ona odgadła raczej niż się dorozumiewała, że musiało być coś przecież między tą kobietą a jej mężem, skoro ten wylany dla niej zawsze Albin, ten nieraz długo i szeroko jej ze swych wrażeń spowiadający się Albin, teraz właśnie, dziś, tak skąpy w słowa.

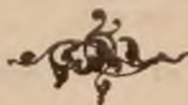
Ucichli oboje; za oknami wiatr zimowy świstał i miotał śniegiem, mroczno stawało się na dworze czemraz więcej; mroczyło się równie i w sercach młodych małżonków. Małe to nieporozumienie, o którem sobie nawet nic nie powiedzieli, dziwnie jakoś na nich oboje oddziałało. Zdawało się, że między nimi stanęła jakaś przegroda, że na jasną ich aż dotąd miłość wzajemną, padł z góry jakiś cień, co niby lekkim obłokiem owiał tę ich miłość. Kochali się jak przedtem, ale dziś po raz pierwszy znikła u Niny ta bezwzględna ufność, ta wiara bez granic w Albina. Wiary tej nie byłyby wstanie powrócić jej żadne zaklęcia, ani zapewnienia. Dlaczego?... Ba! — gdyby wiedziała... Byłaby pół życia dała za to, ażeby to stracone uczucie powrócić mogło, gdyby wróciła ta dziecięca wiara. Czuła to, że jej było stokroć lepiej niż teraz, gdy nieokreślona jakaś zazdrość wkradła się do serca.

W Albinie zaszła także pewna przemiana, której sam nie pożądał. Do wczoraj jeszcze patrzył na swą Ninę oczyma, jakiemi się patrzy na świętych aniołów. Oszołomiony miłością i upojony rozkoszą przy jej boku, widział w niej same najlepsze przymioty, ani jednej zaś wady, bo ich nie szukał dotąd.

Po dziaiejszej scenie po balu, spadła mu łuska z oczu; począł analizować w myśli swoją Ninę, i urok anioła wiele na tej analizie stracił. Im więcej się nad wszystkiem zastanawiał, przychodził do przekonania, że ostatecznie Nina jest taką samą kobietą, jak wszystkie inne, jak i Malwina...

Gdy mu się to imię w mózgu przesunęło, w tej chwili porównanie stanęło przed jego oczyma i postać jej wyniosła i czarująca. Mimowoli, jakby chciał porównać obie kobiety do siebie, popatrzył na Ninę, siedzącą pod oknem i... czy to złudzenie myśli, czy też co innego, ale... żona jego nie wydała mu się tak piękną, jak Malwina. Dlaczego się tak Albinowi zdawało? — a zdawało mu się jednak. Czy on mógł rozwiązać tę zagadkę? A było to przecież takie proste i łatwe do rozwiązania. Dopóki otaczał ją aureolą świętości i anielskości, musiała ona w myśli jego górować nad tamtą. Gdy przeminął ten urok świętości, gdy sama Nina przedstawiła mu się jako kobieta ze wszystkiemi jej wadami, porównanie kobiet musiało wypaść na korzyść tej Malwiny, która była piękniejszą i... doświadczeńszą od Niny.

Ciąg dalszy nastąpi.



WACŁAW STACHIERSKI.

POEZJE.

Przyjdź!

Przyjdź, zdejm nam z czoła koronę cierniową
Daj wyciągniętym dłoniom ster uchwycić...
Pozwól głód duszy żebraczej nasycić,
Zapal na zgasłych miejscu, zorzę nową.

Przyjdź Wielki, w dłoni z gałęzią palmową
Uświęć stopami ziemię ludzi małych,
Podnieś do życia rój myśli omdlałych,
Wznieś nam pod czaszki tęczę kolorową.

Czekamy! Drżące zgięliśmy kolana
Czekamy cudu, jak Jerozolima
Drżała w tęsknocie przed nadejściem Pana.

Już karły śmiechem z świątyni wygnane,
Drogi różanym kwieciem usypane —
Czekamy Ciebie, człowieka-olbrzyma!...

Za złoto...

Za złoto oddam duszę, tę duszę żebraczą
Której wiszą z ramion złudnych mar łachmany...
Okrytą w woli łachman brudny i stargany
Duszę-pustkę, gdzie tylko wichry wspomnień
[płaczą.

Tak za złoto chcę oddać mą duszę-sierotę,
Potem wznieść tron ogromny do mej piersi
[rannej
Z powały deszcz rzucić kwiatów nieustanny,
Ze ścian bisiory spłyną i kaskady złote.

A na tym tronie siądzie uśmiech obojętny
I będzie rządził światem ze złotego tronu
I będzie siał grotami życia albo skonu.

Żaden się szmer w świątynię nie wciśnie na-
[miętny
Żaden ból nie zawyje w kącie jak pies ranny,
I będzie padał tylko — róż deszcz nieustanny.

Wymówka.

Widziałem na podmytym rzeki brzegu
Co jutro do wody się zsunie,
Białe ptaki w ciśniętym szeregu...
Polecą, pomyślałem, nim do wody runie.

Widziałem na spękanem urwisku
Pęk białych kwiatów co się z wiatrem chwiały
I szalejącej wody ze drzeniem słuchały.
Dzwoniły kielichami nad swym własnym grobem.

Na popękanym brzegu widziałem człowieka...
Stał nieruchomy, patrzył w nurty mętne,
Oczy miałj akieś dziwnie szklanne, łzawe, smętne...

Rzucił się w tył, myślałem zrazu, że ucieka.
Nie! był silniejszy od kwiatów, a słabszy od
[ptaków...
I... długo szły po górach jakieś straszne echa.



ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Nie mam żadnych znajomych w Ameryce — odparł Njaedel krótko.

Sören uśmiechnął się.

— Nie przypominasz sobie? Tu napisano. Jest i dziewczyna u mistress Johnson z Krydvigu; na imię jej Anna i chciałaby, abym zaniósł jej pozdrowienie Njaedelowi Vatnemo i powiedział, że jest jej dobrze, że jej chłopiec dobrze rośnie i ma takie same czerwone włosy jak jego ojciec.

Njaedel spojrzał i zamyślił się na chwilę, potem rzekł spokojnie:

— Nie, naprawdę ma czerwone włosy?

Sören spoglądał to na jednego to na drugiego i uznał, że chwila jest korzystną.

— Może jeszcze nie jesteś gotów z robotą wiosenną, Njaedel? — zaczął ostrożnie.

— A ciebie co to obchodzi? — skoczył zaraz Njaedel.

— Nic, nic, w tem możesz mieć słuszność. Ale to już tak jest, sąsiedzi nieraz chętnie uważają trochę na siebie. Było to przecież dwa tysiące siedmset bitych talarów, które zapłaciłeś za ten dworek, co?

Njaedel tylko coś mruknął.

— Mówiłem z adwokatem Toftem, onegdaj — ciągnął Sören dalej i wyglądał obojętnie przez okno — mówił, że wcale porządny dług już zaciągnąłeś na obejście.

— Daj mi pokój, Sören — rzekł Njaedel groźnie.

— No, no — wtrącił Seehus — niech się Sören wygada, co mu leży na sercu; zobaczysz, że w tem coś jest. No, Sören, mów!

Sören nie lubił obydwóch; postępowali nie według jego myśli; ale musiał mówić.

— Tak, sądziłem, że skoro Njaedel ma już tak mało na dworku, to możeby miał ochotę go sprzedać.

— Co dajesz? — zapytał Njaedel.

— Hm, nie powiedziałem przecież, że to właśnie ja-bym chciał...

— Co dajesz? — powtórzył Njaedel.

— Dwa tysiące pięćset talarów.

— Tak nie idzie — zawołał naczelnik gniewnie — to właśnie tyle, ile Njaedel ma zapłacić długu. Prócz tego pole

uprawne jest teraz dwa razy tak wielkie, jak było przedtem. Nie, Sören, musisz iść wyżej, stary!

— Przyjmuję propozycję — rzekł nagle Njaedel i wyciągnął rękę. — Handel skończony.

Naczelnik pilotów chciał przekonywać, ale Njaedel nie dopuścił do tego. Sören Börevig był zupełnie zmięszany; to było nie po jego myśli, wcale nie. Tymczasem wyjął jakiś dokument, owinięty w starą gazetę.

— Byłoby... byłoby może dobrze mieć to na piśmie... Mam tu coś... hm... co się nazywa kontraktem kupna, jeżeli...

— Jesteś ostrożnym człowiekiem — rzekł Njaedel szyderczo — chodź tu z piórem naczelniku!

Nie pomagało nic, pomimo przedstawień naczelnika. Njaedel wziął do ręki pióro i namalował kilka grubych pałek, które miały oznaczać „Njaedel“; więcej miejsca nie było; ale uważano to za dostateczne.

Następnie Njaedel wziął na siebie wełnianą kurtkę, wsadził kapelusz na głowę i ciężkimi krokami wyszedł z izby.

— Musisz się cofnąć, jeżeli tego zażąda, gdyż ma coś w głowie w nieporządku — rzekł naczelnik, nim wyszedł za nim.

Sören Börevig złożył kontrakt kupna i schował go do kieszeni z miną, której na szczęście naczelnik nie widział.

Njaedel szedł naprzód, a Seehus za nim przez pagórek. Gdy stanęli na szczycie, rzekł naczelnik:

— Zdaje mi się, że powinieneś pojechać ze mną do Ameryki.

— Z próżnemi rękami? — zapytał Njaedel głucho.

— Z takiemi pięściami jak twoje, możesz zajść daleko — odparł Seehus — co do mnie, to mam wielką ochotę. To, co mam, znajduje się w dobrych rękach, a dom sprzedam w mgnieniu oka. Chodź Njaedel, pogodzimy się. Zapłacę za ciebie i poczekam, dopóki nie zaczniesz coś zarabiać. A potem jeszcze! Tam masz chłopca i coś w rodzaju żony, jeżeli chcesz. Chodź!

Njaedel stanął i zadumał się.

Tutaj z góry wydawało się wszystko tak małem, czego dokonał w tych latach. Śledził wzrokiem płoty dokoła swych pól; znał każdy kamień, który tam leżał, i przypominał sobie pracę po pracy, którą się dręczył.

Spojrzał znowu na niewykończony rów i z coraz większą goryczą myślał o tych wszystkich planach, jakie miał, gdy tu przybył. Potem przypomniał sobie i tę wielką Annę i te szczęśliwe czasy, w których Krystyna była jeszcze w domu i wszystko szło dobrze. Wzrok błądził po brzegu z jego pieniącymi się bałwanami. Morze spoczywało przed nim szare i beznadziejne i trzymało jakby w silnych kleszczach jego myśli, który biegły ku zachodowi.

I jak ciężkie powietrze deszczowe staje się coraz gęściejszem, gdy burza się zbliża, tak owładnęło nim niezadowolenie po silnem wzburzeniu, podczas którego sprzedał chatę i wyrzekł się wszystkiego.

Ale zdało się, że w całej tej trosce o Krystynę, o siebie samego, o swoje zwichnięte życie, w całym tym ciężarze, jaki go gniótł, zrobiła się jakaś mała szpara po ostatnich słowach naczelnika. W środku tej ciemnej szarości, w którą patrzył, ukazał mu się niejako jaśniejszy punkt. I przychodziły promienie i kupiły się dokoła niego, aż stała się jasność, a Njaedel spostrzegł, że to była główka chłopięcia, mały, biały kark z czerwonym, kędzierzawym włosem.

Odetchnął głęboko i spojrzał zdziwiony dokoła. O tem nie pomyślał nigdy; było to coś, z czem jeszcze wiązała się nadzieja.

— Chcesz jechać ze mną? — zapytał go znowu naczelnik.

— Tak — odparł Njaedel i wyprostował się w całej swej długości — ale przedtem muszę być w Chrystjanji, zobaczyć Krystynę i zapytać się o „sprawę“.

— Ach! Czyż ci to teraz nie jest obojętnem?

— Chcę tylko, aby powiedzieli, że ja miałem słuszność — odparł Njaedel, a w oczach mu się zaświeciło.

— Dobrze — odparł naczelnik, ulegając mu — teraz na wiosnę odchodzi zapewne jaki okręt z emigrantami z Chrystjanji.

W cichości swego ducha myślał naczelnik pilotów, że wcaleby tak źle nie było przejechać się do Chrystjanji. Po pierwsze dla Krystyny, a po drugie, miał ukrytą nadzieję, iż w stolicy uda mu się, musi mu się udać przyłapanie tego, kto stoi ponad wszystkimi sołtysami, poborcami podatkowymi i kapitanami. Byłoby to ciekawem dowiedzieć się, czy to uchodzi, aby w Norwegji i w państwie leżała odłogiem taka droga, jak ta tutaj.

XVI.

Krystyna niedługo była w szpitalu, gdy pokazało się, że wkrótce musi umrzeć. Choroba, która w tak krótkim czasie zniszczyła jej zdrowe ciało, uderzyła na mózg; po dwudziestu czterech godzinach agonji, zamknęła pewnej niedzieli późnym wieczorem oczy na wieki.

Jan był przy niej do ostatka, a gdy wszystko się skończyło, błądził po ulicach, z podniesionym kołnierzem, jak zwykle, nie zważając na nic.

— Dobry wieczór, doktorze Bennechen! — rzekł szambelan Delphin, który miał zamiar otwierać drzwi do bramy — chodź pan do mnie na górę na cygaro i na kieliszek wina!

Doktor poszedł dalej.

— Szczególna ryba, ten doktor Bennechen — pomyślał szambelan, gdy Jan poprostu poszedł dalej, nie wydawszy z siebie ani jednego dźwięku.

Delphin wszedłszy na górę, zapalił lampę, zrzucił frak — szambelan powracał z wieczorku — i wcisnął się w szlafrok. Potem zapalił sobie cygaro, napił się wina i zaczął chodzić tam i napowrót po swoich dwóch przyjemnych pokoikach, rozmyślając o dniu przebytym.

Od owego wielkiego jesiennego balu u Falck-Olsenów stosunek jego do Hildy stawał się coraz serdeczniejszym. Później jednak, przez całą zimę, Hilda unikała go znowu. Coprawda kiedy niekiedy powracała na swe dawne wobec niego zajęte stanowisko, ale tylko na chwilę, a potem odtrącała go od siebie w dziwny, szczególny, lękliwy sposób, którego nie mógł zrozumieć.

Szambelan Delphin strząsnął popiół o piec i myśleć zaczął o innych rzeczach.

Dzisiaj wieczorem powiedziała mu wprost, że nie pójdzie z nim więcej na przechadzkę i najchętniej nie będzie z nim tańczyła więcej.

Chodził wielkimi krokami po pokojach, aż nareszcie stanął przed lustrem i spojrzał sobie bystro w oczy.

— Ależ Jerzy, co ci właściwie jest?

Otworzył biurko i napisał prędko:

— „Kochany Jerzy! Bardzo mi przykro, że i ty, w którym pokładałem tyle zaufania, zeszedłeś także na psy. Gdyż: Kto kocha poraz pierwszy, choć nieszczęśliwie, jest bogiem, ale kto po raz drugi kocha nieszczęśliwie — ten jest głupcem.

A pani Bözösen powiedziała mi wszakże jesteś zakochany.

Widzisz, to byłoby jeszcze pół biedy; ale że jesteś zakochany w młodej małpce z psiemi oczyma i płaskim nosem, to wskazuje na deprawację szlachetniejszych organów i bardzo mi cię żal.

Gdybyś to jeszcze był całym mężczyzną; ale tym nie jesteś, gdyż mnie tobie brakuje. Ale gdybyś był nami obydwoma, to powiedziałbym ci: słusznie mój chłopcze; to najlepszy środek leczniczy dla ciebie, jedyna możliwość uratowania szczątków twego zrujnowanego życia. Bierz ją, im brzydsza tem lepsza; idź z nią zaraz po salonach i powiedz głośno: Panie i panowie, jestem dumny z tego, że mnie wybrała. Wtedy byłaby dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja, nie byłbyś tą nędzną szmatą, jaką pozostaniesz na wieki wieków, amen!“

Odrzucił pióro i wypróżnił szklankę stojącą przed nim.

Jan Bennechen szedł drogą przez Wergeland, gdyż zrobił wielki łuk przez Homannsby, gdy szedł ze szpitala. Teraz jednak z przyzwyczajenia pchało go coś do domu ojca, aby teraz, gdy wszystko się skończyło, zobaczyć znowu okna piwniczne, gdzie tyle kochał i tyle cierpiał.

Gdy się zbliżył, ujrzał człowieka, który coś majstrował około bramy domu. Doktor poznał natychmiast Andersa i chciał przejść dalej. Zwrócił jednak uwagę na to, że Mo raz odstępował od bramy, to znowu zbliżał się do niej i nie mógł znaleść dziurki od klucza.

Jan Bennechen poznał, że Mo był pijany, a pomimo wstrętu, jaki odczuwał dla tego człowieka, podszedł i pomógł mu.

Anders Mo nie był znowu tak pijany, aby nie poznał, kto mu przyszedł z pomocą.

— Tak, pan jesteś bardzo miłym człowiekiem, doktorze... — zaczął swoim pokornym tonem — naprawdę miłym człowiekiem, mówi to i Krystyna.

Gdy jednak wymówił jej imię i chciał twarz ułożyć w jakieś nabożne rysy, stał się Jan tak dzikim, że chwycił go za ramię i zaczął nim wstrząsać gwałtownie:

— Umarła! — syknął przez zęby — a ty jesteś tym, który ją zabił!...

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Medjolańska „Gazetta litteraria“ zamieszcza obszerny artykuł pt. „Il centenerio di Adamo Mickiewicz“, bardzo sympatycznie witający setną rocznicę urodzin naszego wieszcza. „Towarzystwo polskie“ w Genewie zamierza urządzić wspaniały obchód ku czci Adama w Losannie, gdzie Mickiewicz przez dłuższy czas mieszkał i był profesorem. Projektowane jest wmurowanie tablicy pamiątkowej w domu, gdzie twórca „Dziadów“ mieszkał.

W Warszawie w teatrzyku „Odeon“ wystawiono nową komedję autora „Wicka i Wacka“ Zygmunta Przybylskiego pt. „Państwo młodzi“. Doznała ona miernego powodzenia.

W Kolonji odbędzie się w Zielone Święta 75 doroczny „festiwal“ muzyczny ze współudziałem Ignacego Paderewskiego i najwybitniejszych solistów oper: berlińskiej, drezdeńskiej i monachijskiej.

Adam Didnr, basista znany dobrze we Lwowie, który brał udział w premierze opery Mascagniego: „Iris“ (w Rzymie), zawarł obecnie korzystną umowę z dyrekcją opery w Rio-Janecro Następnie śpiewać ma p. Didur w Kairze z Tamagnim i Kaszmanem.

Jubileusz Mickiewiczowski obudził życie zainteresowanie w Czechach. W pismach czeskich znajdujemy liczne i bardzo sympatyczne wzmianki. „Swetozor“ np. zamieścił reprodukcję projektu pomnika Mickiewicza w Warszawie, dłuta C. Godebskiego, „Narodne listy“ zaś wydrukowały trzy fejletony pt. „Jubileusz velkého poety“, pióra Adolfa Czernego.

Przekładu „Pana Tadeusza“ na język serbów łużyckich podjąć się ma znany już tłómacz „Sonetów krymskich“ p. Jakób Ciszniuls.

Docent Wszechnicy Jagiell. dr. Jan Rozwadowski odczytał na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademji umiejętności treść swej pracy pt. „Wymowa bułgarska“, opartej na wskazówkach p. Cvetkowa z Plewny.